

■ Mam nadzieję, że będzie to pierwszy wywiad z dyrektorem Olgą Lipińską przeprowadzony w jej dyrektorskim gabinecie w Teatrze „Komedia”...

— Tak jest. Nigdy do tej pory nie zajmowałam żadnego stanowiska. Nie miałam nie tylko gabinetu, ale nawet swego biurka i bardzo dziwiłam się ludziom, którzy piastowali różne ważne stanowiska.

■ Czy nadal się Pani im, dziwi?

— Nie, teraz sama sobie się dziwię. Ale mówiąc serio, propozycja objęcia przeze mnie dyrekcji „Komedi” przyszła w momencie, kiedy byłam nieco znudzona moim zawodem — reżyserią w teatrze, telewizji, w operze. Każda praca, nawet najatrakcyjniejsza, w pewnym momencie zaczyna nużyć, co nie znaczy — nudzić.

■ Wykazała Pani jednak dużą odwagę obejmując teatr, który nie jest przecięt salicylany do najlepszych w stolicy...

— Gdyby zaproponowano mi teatr o dobrej renomie, nie wiem czy bym się zdecydowała. Być może zabrakłoby mi odwagi. W tym wypadku pociągnęła mnie chęć zrobienia z „Komedi” teatru, do którego sama chodziłabym z przyjemnością, i trudności, które mnie zawsze dopingują.

■ W czym widzi Pani szansę „Komedi”?

— W skupieniu wokół niej ciekawych ludzi — reżyserów, autorów, którzy mają coś do powiedzenia o naszej rzeczywistości. Zgodnie z nazwą teatru chcę wystawić w nim komedie, przede wszystkim współczesne, oparte mocno o nasze realia. Jeśli klasykę — to zrobioną tak, abyśmy odnajdywali w niej także i siebie.

■ Pewnym saskoczeniem jest to, że na inaugurację swej dyrekcji wybrała Pani starą komedię „Gwałtu, co się dzieje” Fredry.

— Wybrałam ją nieprzypadkowo. Jestem wielbiczką Fredry i reżyserowałam już kilka jego sztuk — „Zemstę”, „Pana Jowialskiego”, „Damy i huzary”, „Pierwszą lepszą” Cenię Fredrę za cudowne, wspaniałe, żywe i aktualne do dziś postacie, które stworzył w swych komediach.

„Gwałtu, co się dzieje”, to w pierwszej swej warstwie farsa o nieudolnych rządach sprawowanych przez kobiety. Ale w gruncie rzeczy jest to sztuka o głupocie, strachu i ludziach nie na swoim miejscu, z całą galerią typów — głupców, donosicieli, liżusów, półinteligentów. Fredro zastanawiał się bowiem nad ludzkimi charakterami, które — jak wiadomo — nie zmieniają się tak szybko. Dla mnie wszystko w tej komedii pachnie współczes-



LIPIŃSKA

nością. Jeżeli się śmiejemy, to w gruncie rzeczy śmiejemy się z samych siebie.

■ Mamy nadzieję, że sprawowanie dyrekcji „Komedi” nie odbije się na Pani pracy w Telewizji...

— Obejmując teatr postawiłam warunek, że będę pracowała nadal w Telewizji, gdzie mam już pewną pozycję i dorobek, którego nie chciałambym zgubić. Telewizja mnie artystycznie ukształtowała. Przystąpiłam do niej zaraz po maturze, zaczynając pracę od noszenia taśm. Byłam później inspicjentem, asystentem, a nawet aktorką. W czasie pracy w Telewizji skończyłam wydział reżyserki PWST.

■ Czy nie uważa Pani, że reżyseria to jednak zawód przede wszystkim męski?

— Dzisiaj już nie. Jest przecież dużo kobiet-reżyserów i to bardzo dobrych. Nie przywładzałybyśmy zawodów do płci. Są ludzie, tak kobiety jak i mężczyźni, którzy potrafią kierować zespołem i narzucać mu działanie w jednym wspólnym kierunku. Takich umiejętności wymaga zawód reżysera. Czasami w pracy spotykam mężczyzn, których denerwuje fakt podporządkowania się kobiecie, ale staram się nie zaostrzać sytuacji. Rozumiem i szanuję cudze poglądy.

■ Jak ocenia Pani siebie w pracy z kolegami?

— Nie jestem może najłatwiejsza. Bardzo dużo wymagam od ludzi. Nie toleruję byle jakiej pracy. Może dlatego, że sama ogromnie angażuję się w to, co robię. Nie rozumiem w ogóle ludzi, których praca nie angażuje. Człowiek, którego nie obchodzi to, co robi,

sam skazuje się na niewolnictwo i straszną nudę.

■ Czy Pani przykłada wagę do recenzji prasowych?

— Wierzę przede wszystkim sobie. Jeśli mam dobre recenzje, a uważam, że moja praca naprawdę dobrze się udała, nie cieszę się one. I przeciwnie, chłodne oceny nie zniechęcają mnie. Jeśli sama jestem zadowolona, co zresztą najczęściej mi się zdarza. Na ogół rezultat jest gorszy od tego, co zamierzałam osiągnąć. Innymi słowy — mierzę wysoko, a wychodzi zaledwie średnio. Ale, jak każdy człowiek, potrzebuję w pracy aprobaty, co nie oznacza pochwały.

■ Co teraz przygotowuje Pani w Telewizji?

— Rozpoczęłam nowy cykl kabaretowy pt. „Kurtyna w górę”. Pierwsze programy „Kaloryfer” i „Rury” już były prezentowane, na emisję czekają 3 następne: „Komisja”, „Premiera” i „Kontrola”. Natomiast dla Teatru TV reżyseruję dwie sztuki: „Świecznik” Musseta i „Wdowy” węgierskiego autora, Kertésza.

■ A czy nie interesuje Panią film?

— Interesuje, nawet bardzo. Mam już nawet cień pomysłu na scenariusz filmowy. Być może kiedyś w przyszłości...

■ Realizuje Pani teatr, kabaret, a także operę. Który z tych rodzajów jest Pani najbliższy?

— Nie umiem w swych zainteresowaniach przeprowadzać jakichkolwiek gradacji, że to jest ważne, a to zaledwie margines w mojej pracy. Najważniejsze dla mnie jest zawsze to, co w danym momencie robię.

■ Rozmawiając z Panią trudno powstrzymać

się od pytania: dlaczego tak mało mamy w Polsce kabaretów?

— A dlaczego jest tak mało autorów piszących komedie? Dlaczego tak mało reżyserów zajmujących się komedią? Dlaczego aktorzy stroną od komedii? Dlatego proszę pana, że to jest bardzo trudne i niestety, uważane za gorszą odmianę sztuki.

Najwybitniejsi aktorzy komedii zyczyliby sobie u nas takiego prestiżu, jakim cieszą się przeciętni aktorzy z teatrów dramatycznych. Tylko w Polsce ranga aktora komediowego jest niewysoka. To sprawia, że artyści mający talenty komediowe odczuwają opory i lęk przed tym, aby grając w śmiesznej sztuce nie zdeprecjonować się w opinii kolegów i publiczności.

Niedawno brałam udział w radiowej audycji „Portret słowem malowany”, poświęconej Barbarze Wrzesińskiej. Andrzej Łapicki stwierdził, że działalność w kabarecie jest jakby marginesem w jej życiu artystycznym. Zabrzmiało to trochę jakby radził Wrzesińskiej, aby zrezygnowała z kabaretu i zajęła się prawdziwą sztuką. Powiedział to aktor, który doskonale zdaje sobie przecież sprawę, że zagranie w komedii czy kabarecie jest równie trudnym, a nawet trudniejszym, zadaniem niż zagranie w dramacie. Bo oprócz talentu trzeba mieć także i wdzięk. Ten głos jest symptomatyczny. I trudno się dziwić, że artyści którzy mogliby specjalizować się w komedii, starają się od niej stronić.

Rozmawiał:
STEFAN DRABAREK
Fot.
ZOFIA NASIEROWSKA